

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## Ryszard Wagner a Polska.

Słynny muzyk niemiecki Wagner, którego setną rocznicę urodzin obchodzi cały świat cywilizowany, napisał w młodości bardzo charakterystyczny utwór muzyczny „Polonia“.

Ciekawe są okoliczności w jakich powstał ten utwór.

W roku 1832 działy się dziwne rzeczy w Lipsku, wyprowadzające nawet najspokojniejszych mieszkańców lipskich z równowagi. Wszyscy najznakomitsi biogra-

fowie Wagnera jednogłośnie chorem stwierdzają, że wypadki w Polsce w roku 1832 wpłynęły na ukształtowanie się pojęć Wagnera. On sam stwierdza to, jak później przytoczymy. Posłuchajmy na razie, co pisze najznakomitszy biograf Wagnera niemiec Glasenapp o przechodzie emigrantów polskich w r. 1832 przez Lipsk, którego naocznym świadkiem był zamieszkały wówczas w Lipsku Wagner.

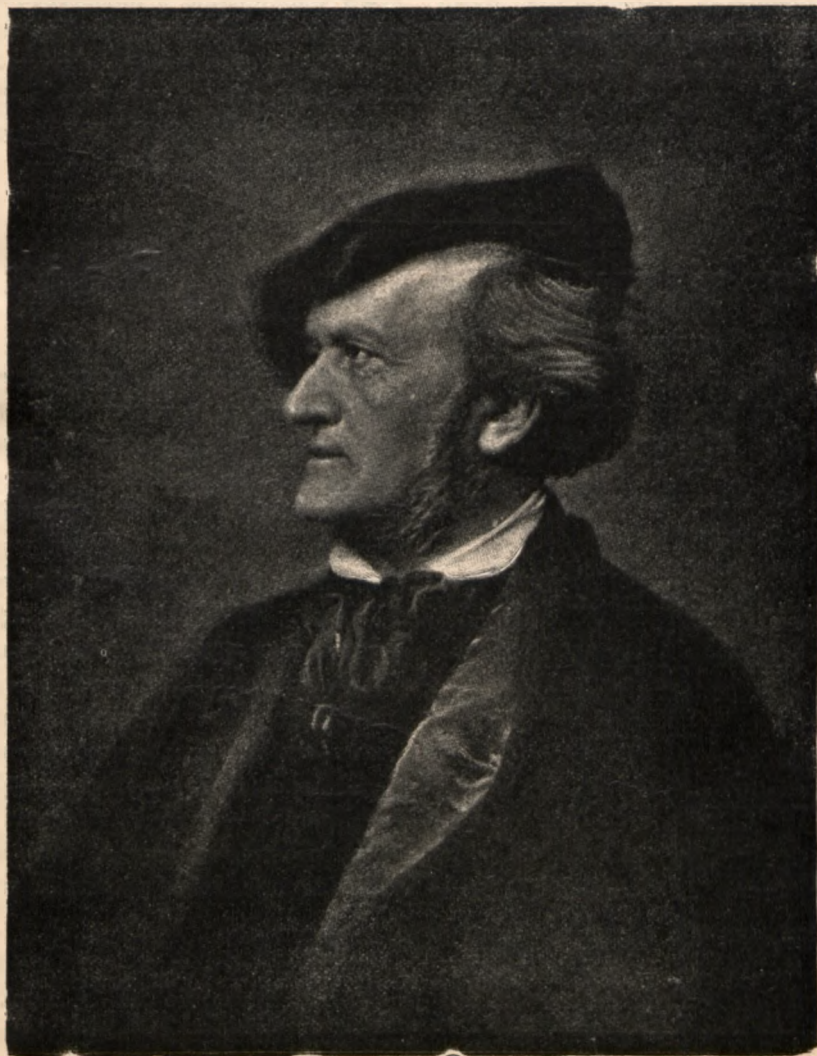
„Po upadku Warszawy, tysiące Polaków postanowiło w obcych krajach szukać swej ojczyzny, lub stamtąd wpływać na życzliwość ludów dla sprawy Polski. Część wielka znalazła gościnne przyjęcie we Francji, inni

wywedrowali do Anglii, Ameryki, Belgii i Algieru. Z końcem roku 1832 przechodzili pierwsi wychodźcy polscy przez Niemcy. Ósmego stycznia 1832 roku w piękny zimowy dzień zawitali, pierwsi polscy bohaterowie do Lipska i pobytem swym i ciągle nowemi przeszkodami rozgorączkowali coraz bardziej mieszkańców Lipska. Godzinę drogi za miasto wybiegali pędzeni niecierpliwością obywatele i witali nadchodzących okrzykami. Przy bramie grymskiej nowe wycze-

kujące tysiące ludzi przyłączało się i tworzyło jeden radosny, brzmiący okrzykami i miłością pochód.

„Cała długa i szeroka droga była niby zasiana ludźmi, którzy w owej chwili nic innego myśleć i wypowiedzieć nie chcieli, jak tylko to, jak bardzo polskim, pozbawionym Ojczyzny tułaczom są życzliwi i serdeczni. Również polacy starali się dać do zrozumienia witającej ich rzeszy swą wdzięczność i radość. Wzruszającym było dostrzegać tu i owdzie łzy uniesienia.

„Zapalonymi przyjaciółmi Polaków okazali się studenci; wielu z nich zamieniało z obcymi pamiętki, uściski bratnie i zawiązywało węzły przy-



RYSZARD WAGNER.

jaźni. Kto z nich nie miał majątku, lub odpowiedniego mieszkania, aby nim służyć polakom, szukał przynajmniej ich pożądanego towarzystwa, aby z opowiadań czerpać podziw dla nowego, niesłychanego bohaterstwa.

Codziennie po południu widziano polskich wychodźców, idących ku ogrodom Gerharda, do grobu Poniatowskiego. Ciągłe rzucające na mogiłę świeże kwiaty chowali polacy w swych portfelach, jako relikwie z mogiły nieszczęśliwego księcia. Naoczni świadkowie opowiadają o głębokich wrażeniach, jakich doznawali, patrząc na wymowne twarze i słuchając niezrozumiałych dźwięków polskiej mowy, ożywionej zbudzoną gorącą miłością Ojczyzny. We wszystkich miejscach publicznych, gdzie tylko ukazywali się Polacy, wyrażano im jak największe uszanowanie.

Na cześć ich i na ich cele dano wielki koncert w „Gewandhausie“, który dał znaczny dochód. W programie koncertu była niemiecka patriotyczna pieśń o polskim bohaterstwie: „Czy pamiętasz o tem?“

Z tych to czasów, gdy turkot wozów polskich po kilku miesiącach ustawał, a „kiedy jeszcze w Lipsku wszystko gorzało i paliło się dla Polaków“, pochodzi myśl napisania uwertury Ryszarda Wagnera, zatytułowanej „Polonia“.



Budynek wagnerowskiego teatru w Bayreuth.

W przyjęciach Polaków brał Wagner osobisty udział i dni te głębokie na nim wrażenie zrobiły, co poświadczają własne jego słowa: „Dumne i piękne postacie polskich wychodźców zachwyciły mię tak, że żywo współczując z nieszczęśliwym losem ich Ojczyzny, sam się z nimi osobiście zapoznawałem“.

Chcąc udowodnić polakom swą sympatję, napisał właśnie Wagner swój utwór, całkowicie oparty na motywach pieśni polskich. W Warszawie po raz pierwszy grano utwór ten ubiegłej zimy.

## Do młodzieży.

Życie przed tobą jak przedza złota,  
Z której masz wysnuć przecudną nić;  
Piękniejsza praca im większa cnota,  
Trzeba z nią działać, nietylko śnić...

Nie tylko z przędzy snuć nici złote,  
Lecz trzeba trwały materiał tkąć,  
Szczerą do pracy tej mieć ochotę,  
Z niedoli bliźnich sił zdroje brać...

Ach! tyle nędzy na naszej ziemi,  
Owocem prac twych obdarzaj kraj...  
I w imię Boże pracuj z innymi,  
Siebie za przykład wytrwania daj!

## Więzień.

Samotny w pięknej klatce, smutnie ptaszek śpiewał  
O tem wszystkim co przeżył, a co już minęło...  
Słuchając go i moje serce się ścisnęło,  
Bom i ja dawniej w życiu chwile szczęścia miewał...  
Dziś samotny i smutny, choć siedzę za kratą  
Wiem, że mam ciało marne, lecz duszę bogatą...

## Bajki.

### I.

Działała wiele pycha, pnąc głowę do góry,  
Więc bierze do pomocy dwie nadobne córki:  
Zazdrość no, i głupotę... Gdy wspólnie działają,  
Widzą, że aby świecić — oliwy nie mają...  
— Oj, biada! — rzecze pycha. Zazdrość i głupota  
Powtarzają to samo. Wtem wyszła z za płota  
Pracowita prostota. Pokorna, nieśmiała,  
Ujrawszy wielkie damy, już się cofnąć chciała,  
Lecz pycha z słodką miną wyszła na spotkanie,  
I całując prostotę, wyrzekła: — Kochanie!  
Czekałam dawno na ciebie i rachuję śmieie,  
Że w ciężkiej pracy mojej pomódz możesz wiele...  
— A ja cię radą wesprę! — dodaje głupota.  
— I mnie — szepnęła zazdrość — wyręcz, moja złota...  
Więc prostota za pychę, zazdrość i głupotę,  
Chociaż one działały, pełniła robotę...

### II.

Pycha i głupota pary się trzymają,  
A że są obie lekkie, zwykle wypływają,  
Praca idzie z pokorą, lecz lubiąc ukrycie,  
Zazwyczaj w zapomnieniu spędzają swe życie...

*Ks. Jan Wiśniewski.*

# Wielogłowi bogowie słowiańscy.

## ŚWIATOWID (Swantewid).

Najpotężniejszym i najdzielniejszym ze wszystkich bogów, jaśniejszymi zwycięstwami i wyroczniami był Światowid, uważano go za wszechwładnego, za boga bogów, za świętego bohatera, a czczono go nie tylko na wyspie Rugii, gdzie w mieście Arkonie miał swoją świątynię, ale i w wielu innych miejscowościach.

Na tego boga Słowian zwrócone były oczy wszystkich ludów słowiańskich zajmujących ogromną przestrzeń Europy.

Obcy nie słowianie cześć mu też oddawali.

Różni królowie, a między nimi i skandynawski, składali mu hołd i kosztowne dary dla zjednięcia sobie jego łaski.

Do dziś dnia ślady kultu jego są jeszcze widoczne, tak w różnych nazwach miejscowych jak i w wydobywanych z ziemi starych pomnikach i t. p.

Wspaniała świątynia Światowida w Arkonie wznosiła się na wysokim przylądku białych skał kredowych nad samem morzem, mieściła wewnątrz olbrzymi posąg tego bóstwa przedhistorycznego o czterech głowach osadzonych na tyłu barkach; w ręku trzymał wianek, u stóp zaś jego znajdował się róg, leżała uзда i siodło na konia, dalej ogromny, srebrny, pięknej misternej roboty miecz, którym podług ówczesnej wiary i przekonań, co noc pokonywał wrogów, dośiadałszy białego konia.

O ile dla wrogów miał być straszny, groźny, mściwy, niszczący o tyle dla przyjaciół pełen dobroci i błogosławieństwa.

Cztery głowy, po jednej dla każdej ze stron świata, mają też być symbolami czterech pór roku.

Wzrok jego sięga daleko, obejmuje nim wielki bóg przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Wianek trzymany w ręku jest wizerunkiem słońca, róg znajduje się w tym celu, aby w dniu dożyneków wano weń miód na ofiarę z prośbą, iżby następny rok był obfitszy; dawano też przy tej prośbie i kołacz lub piernik tak wielki, aby mógł zasłonić ofiarnika.

Porządek w świątyni t. j. zamiatanie podłogi, oczyszczenie posągu i t. p. mógł robić tylko kapłan; tylko jemu dozwolony był wstęp do tego świętego miejsca, którego niewolno było skalać nawet ludzkim oddechem; to też kapłan spełniający swe obowiązki a potrzebujący głębiej odetchnąć wybiegał przed drzwi dopiero po odetchnięciu wracał do świątyni; po uporządkowaniu brał róg z miodem i bacznie uważał czy miodu nie ubyło, jeżeli ubyło, to był zły znak, zna-

czyło to bowiem, że rok będzie nie dość urodzajny; jeśli miodu nie ubyło, oznajmiał z radością, iż zapowiada się dobry rok, dobry urodzaj, wtedy też stary miód wylewał na ofiarę u stóp posągu, a świeżym napełniał róg i pił do posągu, prosząc uroczyście o wszelkie dobro i pomyślność dla kraju i narodu, o siłę, zwycięstwa i bogactwo.

Mieszkańcy wyspy, którzy w dniu tym zarzynali na ofiarę dla bóstwa piękne tłuste bydłeta, gromadzili się przed świątynią i urządzali sutą ucztę; używano i bawiono się wtedy z całą swobodą, było jej nawet zawiele, gdyż popełniano różne nadużycia, nie zachowywano w niczem miary; dzikie ówczesne obyczaje występowały w całej pełni.

Światowid miał trzystu rycerzy i tyluż dzielnych rumaków, wyjeżdżających na wojnę; hodowano wówczas ogromne stadniny, aby z nich wybierać święte konie dla boga bogów, oddawano mu też wszelką zdobycz i łupy wojenne i to pozostawało pod opieką kapłana. Każda kobieta i każdy mężczyzna przynosił mu co rok bity pieniądz.

W lasach i na pastwiskach chowano dla bóstwa bydło, uprawiano zboże, len, konopie, utrzymywano pasieki, aby mieć zawsze zapas miodu; z morza, rzek i jezior łowiono ryby... o! dla bóstwa wszystko być musiało.

— I czemże była ta wiara? — zapytamy dziś z pewną pogardą — miałż ona jakie znaczenie? czy lud czerpał z niej moc i siłę?...

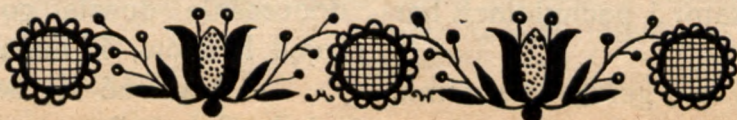
O tak! w niej leżała siła moralna państwa i ludu, w niej powstawała wytrwałość, wzrastał zapał; ludzie ówcześni z bóstw przedstawionych w kamiennych posągach wytwarzali sobie ideały, w imię których pracowali i walczyli.

Nie były to chrześcijańskie pojęcia złego i dobrego, nie była to chrześcijańska sprawiedliwość miłości bliźniego, która nawet za kamień chlebem płacić każe, ale w każdym razie były to jakieś podstawy, na zasadzie których rozstrzygane bywały różne ważne sprawy, nawet pokój i wojna. Wszystko wówczas zależało nie od króla a od kapłana, który przy pomocy arkońskiej wyroczni wydawał rozporządzenia.

Biały koń Swantewida (czy Swantewita) wróżył powodzenie lub niepowodzenie w boju, przechodząc przez skrzyżowane włócznie.

W Arkonie była siedziba najwyższego kapłana, a zarazem miejsce wyroczni, to też przybywały tu liczne rzesze bogobojnych słowian, odbywały się też ważne zgromadzenia narodowe.

*Helena Bojarska.*



## NIGDY!!!

27)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

W polu kap. Orszacki zdawał raport:

— Przyszedł ten oto papier od najjaśniejszego cesarza Francuzów.

To mówiąc podał papier opatrzony lakową pieczęcią, na której widniały litery: N. B. I. F. tj. Napoleon Bonaparte Imperator Francuzów.

Ks. Józef niecierpliwie rozdarł kopertę. Czytając zmarszczył brwi i syknął z gniewem:

— Niepodobieństwo! O setki mil łatwo wydawać rozkazy!

— Niepodobieństwo! — powtórzył.

A potem mówił:

— Napoleon rozkazuje nam powrót do księstwa Warszawskiego i prowadzenie wojny partyzanckiej z wojskami zwycięskimi. Posłaniec który przywiózł ten papier nie mało użył trudu, żeby się przedostać przez rosyjskie straże — odrzekł Orszacki. — Szczególniejszym też zbiegiem okoliczności natrafił na mój oddziałek, z którym przedzierać się musiałem bardzo ubocznymi drogami, niedogodnymi i trudnymi do przebycia dla liczniejszych szeregów — odrzekł Orszacki.

— Przywołać tego, co przywiózł papier! — rozkazał książę.

— Jest ich dwóch — objaśnił Orszacki.

— Niech się stawia!

Wkrótce stanął przed ks. Józefem nie młody już mężczyzna i wyrostek nie mający więcej jak czternaście do piętnastu lat.

Ubrani byli po cywilnemu w jakieś wytarte płaszczki. Wyglądali na kupców wędrownych.

Każdy z nich dźwigał przed sobą dość duże pudełko, w którym mieściły się najrozmaitsze drobne przedmioty, począwszy od czernidla do butów, gęsich piór już zaciętych; zapalek, które w owym czasie były jeszcze pewną osobliwością. Nie brakło też plastrów gojących wszelkie rany, flaszeczek z najróżnorodniejszymi niezawodnymi na wszystkie choroby lekami i pachnidłach bardzo wątpliwej woni.

Książę ujrzawszy ich, gorzko się uśmiechnął.

— Kiedy i gdzie oddano ci te papiery? — zapytał po francusku.

— Czternaście dni temu, a gdzie? kto to może spamiętać. Była jakaś rzeka, wieś, duży obóz, najjaśniejszego cesarza i wojsko — odrzekł starszy złą francuzczyzną.

— Francuz? — spytał książę, przypatrując im się badawczo.

— Jego miłość mnie sobie nie przypomina? Ja jestem rymarz Michał Rzemień z Jabłonny, co wyszedłem z jego miłością jeszcze wtedy, gdyśmy szli na Rosję — odrzekł badany po polsku, również mieszając cudzoziemskie języki.

Książę z trudnością przypomniał sobie Rzemienia, który czasem do pałacu przynosił powierzona mu robotę.

— A ten? — zapytał.

— Ten urwis to mój syn, Dominik. Jak się dowiedział, że jego książęca mość poszedł z nowem wojskiem do Krakowa, to uciekł matce z domu, żeby się zaciągnąć do szeregów. Jego książęcej mości nie zastał już w Krakowie, ale za to ja go przydybałem na Podgórzu! Byłbym mu skórę wyłoił, ale, że akurat chłopak, którego mi dano z pudełkiem do pomocy, zmarł właśnie, zabrałem więc jego odzież i pudełko z towarem, darowałem już winę swemu wiusowi i zabrałem go z sobą.

Książę mimo troski, jaki mu sprawił przysłany papier, uśmiechnął się na to przydługie opowiadanie i rzekł:

— Wleczcie się dalej za obozem i udawajcie kupców.

W tem Dominik runął jak długi do nóg księcia, prosząc:

— Jabym chciał na konia i być żołnierzem!

— Musisz się pogodzić z losem moim małym, i być tem czem dotąd, później pomyślimy o tobie.

Widząc zaś rzeczywiste niepodobieństwo spełnienia rozkazu Napoleona, bo jednocześnie doszła go wieść, że Rosjanie zajęli Kraków, 13 maja książę wydał rozkaz:

— Posuwać się dalej drogami ubocznymi do Saksonii.

## XI. ZWYCIĘSTWO.

Jakkolwiek w Paryżu i całej Francji było niesłychane wzburzenie za krew przelaną i klęski w Rosji, Napoleon w kilka miesięcy po powrocie zdołał uspokoić umysły.

Te same usta, które miały przekleństwa i krzyczały: á bas Napoleon! (precz z Napoleonem!) — wołały teraz Vive Napoleon, („Niech żyje Napoleon“.)

I oto, mimo wycieńczenia kraju zebrał sto tysięcy gwardji, sto tysięcy nie powołanych do broni w poprzednich dwóch latach, zatrzymał jako rozerwę i 150,000 młodzieży, która dopiero w następnym roku miała stanąć pod bronią.

Szeregi więc jego nie były prawie mniejsze co do liczby od tych, które wyprowadził w r. 1812.

Tak, nie były mniejsze co do liczby, lecz siły ich były dużo słabsze.

Młodzież nie wyćwiczona, nie umiejąca wprost mustry, nie znająca najmniejszych obrotów wojennych.

Oficerowie i dowódcy z mniejszą inteligencją i znajomością, sztuki wojskowej.

Lecz sokole oko tego wojennego geniusza, umiało położyć na nich swoje piętno, a głos rozkazujący, stanowczy, wprost czynił cuda.

Gdy się ukazał, każdy drżał jeno myślą:  
— Spełnię, co rozkaże.

Pod spojrzeniem jego dzieci dojrzewały.

Nie znający obrotów wojennych na jedno jego słowo nabierali lwiej odwagi, przenikali to, co było dla nich niejasne i szli za jego rozkazem.

W połowie grudnia 1812 r. przybył do Paryża unikając wielkich niebezpieczeństw, a w połowie kwietnia 1813 r. mimo nurtującej go jakiejś wewnętrznej choroby, stawał na czele nowej armii.

Patrzący na niego zdala mówili:

— Ten człowiek ma żelazne zdrowie!

Wodzowie nawet, którzy zdołali ująć ze strasznej klęski w Moskwie powtarzali.

— Wygląda jak gdyby nie przechodził trudów, które nas zgnębiły!

I rzeczywiście tak wyglądał.

Siła jego woli była wielką. Tą siłą po-

konywał wszelkie cierpienia wewnętrzne, nie dając się złamać żadnym przeciwnościom.

Powiedział sobie:

— Zawojuję Europę, zgniotę wszystkich przeciwników; zostawię Francję wielką, na jej tronie mego syna!

A syn ten miał dopiero rok drugi.

I dla spełnienia swoich zamiarów, zwołał stany 15 kwietnia 1813 r. i zawołał:

— Małżonkę naszą, Marję Ludwikę mianujemy regentką podczas naszej nieobecności!

Wszyscy pochylili głowy z uznaniem.

Nikt nie śmiał nie tylko zaprotestować, ale nawet pomyśleć, że rozkazu nie uznaje.

I zaraz wyruszył na czele nowych swych szeregów, a w końcu kwietnia był już nad Elbą.

Tam koncentrowały się też wojska pruskie i rosyjskie, nad którymi objął dowództwo jen: rosyjski Wittgenstein,

— Diable! — sarknął Napoleon dowiedziawszy się od wysłanych przez siebie wywiadowców, że nieprzyjaciel zalał całą okolicę.

— Ten stary pies Wittgenstein ma liczne wojsko, no, i doskonale wyćwiczone, wyrosli w tych przeklętych śniegach, stęzeli jak bryły lodu. Prusak dostarczył mu też swoich niezgrabnych ciężkich, ale umiejących walczyć i znosić trudy żołnierzy — myślał dalej.

Spojrzał na szeregi swoich młokosów i wzruszył ramionami.

— Kociaki sykną!

— Ale i kociaki potrafią drapać do krwi gdy się nimi pokieruje — dodał dla dodania sobie otuchy.

— Nie będę jednak pierwszy rozpoczął bitwy, poczekam, może się to jakoś ułoży — rozmyślał.

Wittgenstein zaś, który również miał swych donosicieli, dowiedziawszy się dokładnie z jakich żołnierzy składają się siły Napoleona, rzekł:

— Taak, no, to teraz zobaczymy!

— Dość już było tego panowania nad całą Europą, przeszła już jego gwiazda, nadsza wzejść musi!

STANISŁAW BEŁZA

27) **NAD ŻŁOTYM ROGIEM**

W roku 1865 straszny pożar zniszczył znaczną część jego zabudowań; później gdy wyciągano nad morzem Marmara linję kolei żelaznej do Adrjanopola, skazano na zagładę znaczne obszary, zajęte pod jego ogrody, i rozwalono otaczające go od wschodu mury; przedstawia się więc on i dziś, jak powyszczerbiana pustka, i tylko wielką przeszłością swoją do widza przemawia, przeszłością, na tle której rysują się sylwetki wielu sułtanów, groźnych dla cywilizacji i Europy, póki ich oręż Sobieskiego pod Wiedniem już na zawsze nie obezwładnił.

W księdze IV Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“, we wspaniałej apostrofie do gęstych kniei, do których:

„przyjeżdżał na łowy,  
„Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,  
„Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,  
„I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.“

znajduje się piękny opis, wielkiego Baublisa:

„w którego ogromie,  
„Wiekamy wydrążonym, jakby w wielkim domie,  
„Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem“

i tak rozłożystej lipy:

„że pod jej cieniami,  
„Stu młodzieńców, sto panien szło w taniec parami.“

Kiedy, nie mogąc się dostać do wnętrza Seraju, z powodu trudności w uzyskaniu przez konsula pozwolenia na zwiedzenie go, wsiałem na konia, by objechać cały plac, na którym się wznosi, uderzyło oczy moje olbrzymie drzewo, które powyższe wiersze poety na pamięć mi przywiodło.

To słynny platan janczarów.

Nie włożył on zapewne „pięciu wieków na swój kark garbaty“, jak ten dąb z poematu, „wsparty jakby na grobów potamanych słupach“, ale włożył ich przynajmniej ze trzy, gdyż o tem świadczy cały jego wygląd. A więc, rozłożyste szeroko gałęzie, kolosalny pień, grube korzenie, wyglądające z ziemi, i wreszcie olbrzymia dziupla w spróchniałem wnętrzu, w której dwunastu ludzi nie tylko mogło, jak w Baublisie „wieczerzać za stołem“, ale wieczerzać musiało niejednokrotnie, jak o tem świadczą ślady ognia, jaki tu dla ugotowania wieczerzy lub obiadu nieraz rozżarzano.

Ten platan ma swoje dzieje, i jakie jeszcze, pełne grozy i krwi!

Wiadomo, czem byli janczarowie w historii Turcji, jaką straszną odgrywali w niej rolę, jakiego okropnego doczekali się końca.

Rekrutowani przeważnie z młodych chrześcijan, których wychowywano w mieście Proroka, stanowili oni wojowniczą milicję, podtrzymującą i obalającą nieraz tron sułtanów. A że w czasach ich największej potęgi liczono ich czterysta tysięcy, przeto nic dziwnego, że z potęgą tą rachował się każdy kalif.

Otóż ten platan był ich od wieków ukochanem

wojną i po wojnie, z pod jego gałęzi wydawali nierażące rozkazy następcom proroka. Trwało to długo, aż wreszcie przyszedł sułtan, który zapragnął temu ich rządowi w rządzie kres położyć. I położył, a ten platan na placu przed Serajem świadczy o strasznej jego zemście. I jeżeli powiada poeta turecki, że każdy liść jego przypomina głowy powieszonych na jego gałęziach ofiar, to powiada prawdę, bo nie zliczyłbyś tych, którzy pod jego cieniem życie postradali.

Ma więc on swoje dzieje, dzieje okropności pełne, był świadkiem bowiem rozkwitu i upadku wojowniczej kohorty, która w kronikach Turcji zapisała się tak krwawymi zgłoskami.

Po rzezi janczarów, której właśnie okoliczne miejsca były teatrem, Mahmud II opuścił Seraj na zawsze i gdy nie powstrzymywane pałacu tego mury, rozpadają się z czasem w gruzy, platan ten jeszcze szmerem swoich gałęzi mówić będzie o odwiecznej przeszłości państwa, które, niegdyś jedno z najpotężniejszych w Europie, dziś, jak tyle groźnych potęg zmienną koleją rzeczy ludzkich, próchnieje u posad i rozpada się w proch.

Czyjej politycznej władzy słońce zaświeci mu, gdy wiatr rozwieje ostatki tego próchna i prochu Turcji nad Żłotym Rogiem?

Tak więc półwysep, gdzie dziś stoi stary sułtański Seraj, i który półkolem opasują szyny kolei żelaznej, łączącej Wschód z Zachodem, należy do najbar dziej historycznych miejsc w Konstantynopolu.

Grecy, rzymianie, wreszcie turcy, tu nie gdziein dziej, rozkładali się z całym zasobem swoich sił i stąd dyktowali prawa światu. Pełno też tu gruzów przypominających ich wszystkich, choć nie do niszczenia tego wszystko w pochodzie swoim czasu należy mieć pretensję o to, że te gruzy nie przechowały się w lepszym stanie.

Zanim posuniemy się na południo-zachód i odbędziemy ciekawą wędrówkę do Ejubu, wzdłuż murów Paleologów, popatrzmy na te gruzy. Nie ucieszą one naszego oka, jak żywo, nie wskreszą tego przed nami, czego są pozostałością smutną, ale zajmą przecie chociażby z tego jedynie względu, że przypomną epokę, poprzedzającą zwycięstwo półksiężycy z Krzyżem.

Przechodzimy parę uliczek krótkich, złe brukowanych i krzywych, mijamy kościół Św. Zofji, i znajdujemy się w dawnym Hippodromie.

Już za Septyma Sewera istniał on tu, ale dopiero Konstantyn Wielki rozszerzył go i upiększył, póki wreszcie Rycerze Krzyżowi nie spłądrowali go w barbarzyński zaiste sposób.

Ogołocony ze swoich artystycznych skarbów, a między innymi ze słynnej czwórki koni, które przyozdabiają w tej chwili zewnętrzną galerję w kościele św. Marka w Wenecji, Hippodrom ten, w chwili najściślej

na. Turcy postarali się o to, że ruina ta zamieniona została w stos gruzów. Z murów, trzymających się jeszcze jako tako, powyrywali odwieczne cegły, obracając je na budowę meczetów, i dziś, bez dokładnej mapy w rękę, z tego, co na miejscu pozostawili, niepodobna nawet odtworzyć dokładnie kształtów słynnego tego cyrku.

Plac Hippodromu, dzisiejszego Akmeidanu, ozdabiają trzy kolumny.

Pierwszą z nich jest obelisk Teodozjusza Wielkiego. Jest to monolit z szaroróżowego granitu, 30 metrów wysoki, a dwa szeroki u swojej podstawy. Przywędrował tu za tego Cezara z Egiptu, gdzie jak odcyfrowany na nim napis głosi, wznosił go faraon Thutmes III. Obelisk, podobny do wszystkich, z

jakimi spotykaliśmy się w stolicach zachodniej Europy, tem się od nich różni, że piedestał jego ozdabiają płaskorzeźby, przedstawiające sceny z życia Teodozjusza. Nie zatrzymujemy się więc też przed nim dłużej, zwłaszcza, że ciągnie nas ku sobie nieopodal stojąca kolumna inna, jakiej podobnej nie widzieliśmy przedtem nigdzie.

Kolumna to wążowa.

Nie wysoka, cała z brązu, uderza tem przede wszystkim oczy, że wygląda jak gdyby przełamana. Składa się z cielsk trzech węzów, oplatających ją dookoła, ale węzów niekompletnych, gdyż pozbawionych łbów i szyi. Niegdyś ozdabiała świątynię Delficką, później Konstantyn Wielki przeniósł ją nad Bosfor i ustawił w tem miejscu.

Kiedy i w jaki sposób węże, składające się na tę kolumnę, utraciły głowy i szyje, dokładnie nie wiadomo. Prawdopodobnie odpadały powoli, kruszyły się gryzione zębem czasu, a że nikt w Turcji o zabytki przeszłości nigdy się nie troszczył, przeto w ciągu wieków niszczały doszczętnie. A szkoda — jest to bowiem zabytek starogreckiej sztuki, miejscami uderza doskonałym wykończeniem szczegółów, i gdzieindziej niezawodnie dochowałyby się w pierwotnej postaci. Tu dla badaczy artystycznych pozostałości po Helladzie przepadł, i tylko z tego, co pozostało, domyślać się można, że wart był zachowania. Czy on tylko, na tym wspaniałym przyłdku, gdzie tyle nieocenionych skar-

bów skazały na zagładę głupota i dzikość człowieka?...

Jeżeli teraz do tych murów szczerbatych dawnego cyrku, tych dwóch kolumn i tej tu obok trzeciej, Konstantyna Porfyrogenity, niegdyś nazwanej „cudem śpiżowym“, jak Kolos Rodyjski, dodamy muzeum janczarów, pełne figur odtwarzających historyczne osobistości Turcji, i

cysterny, wspaniałe dzieła inżynierii starorzymskiej, teraz pozbawione wody w zupełności, to stworzymy sobie obraz Hippodromu, niegdyś teatru igrzysk, muzyki i wesela, dziś prawdziwego cmentarza starych pamiątek.

I staną nam na pamięci słowa, jakie wyrwały się Mahometowi II, kiedy po zdobyciu Konstantynopola wkroczył na ziemię, gdzie tyle wieków gro-

madziło się na to, na co się zdobyli najgenjalniejsi jej synowie, i powtórzmy je za nim i za poetą perskim, gdyż zawierają w sobie prawdę nad prawdami, że wszystko, co z rąk śmiertelnych wyszło, jest kruche i śmiertelne:

*„Pająk przedzie sieć swoją w pałacach monarszych, a puszczyka jęk rozlega się smutno w nocy na wieżach Erasiahu“.*

Nad tem morzem Marmara, gdzie z ust tak dostojnych rozległy się te słowa po raz pierwszy czterysta lat temu z górą, na każdym dziś kroku widzi się tę pajęczą sieć zaniedbania i słyszy ten złowróżbny puszczyka jęk...

\* \* \*

Ale te psy, te natrętne, szkaradne psy, dają mi się nie na żarty we znaki.

Już w Perze i Galacie dokuczały mi nieznośnie w dzień, gdym odbywał przechadzki po ulicach tych dzielnic, i w nocy, gdym nie mógł z powodu bezustannego wycia i szczekania oczu do snu zmrzózć; ale w Perze i Galacie było ich raz mniej, niż tu w tym Stambule, a powtóre, dzięki większym porządkom policyjnym, z jakimi się tam spotykałem, mniej natrętne wchodziły mi w drogę.

Tu, gdzie o porządkach policyjnych mowy nawet niema, ocieram się o nich literalnie na każdym kroku.

Jadę konno, mam gromadę ich za sobą; idę piechotą, potykam się o całe ich wygrzewające się na



Top - Kapu.

słońcu stada; towarzyszą mi w kawiarni, do której na krótki wypoczynek wstępuję, na cmentarzu, gdzie zachodzę od czasu do czasu, by się przyjrzeć obrazom pogody, jakie śmierć i miejsce śmierci na twarzach turków wywołują. Słowem, są one wszędzie, nawet w obrębie murów meczetów, i dobrze oganiać się przed nimi musi odźwierny turek, by razem ze mną nie przedostały się do miejsca, czci Ałłacha poświęconego.

Już Czyhaczew zauważył, że okolice Bosforu i wogóle wszystkie prowincje Turcji, posiadają bardzo małą ilość gatunków, tak nazwanego, psa domowego w Europie.

Kiedy atakowany zewsząd przez psy w Stambule, przyglądam się im uważnie, muszę przyznać, że tak jest rzeczywiście. ]

Spotykamy tu się bowiem przeważnie z jednym psim typem, z tak nazwanym *psem-wilkiem*. Typ ten panuje tu niemal wszechwładnie i wszystkie inne wyparł zwycięsko, a wyparł je tak radykalnie, nie tylko z Konstantynopola, ale z całej Turcji, że psa myśliwskiego widzisz tam bardzo rzadko. Czemu ten fakt przypisać, nie wiem, boć przecież w dawnych wiekach ostatni ten pies był nieodłącznym towarzyszem każdego dworu sułtańskiego, a jeśli wierzyć Chalkandyasowi, jeden Bajazyd II utrzymywał sześćdziesiąt tysięcy psów do polowania.

Ten Czyhaczew, członek i korespondent Instytutu Francji i Akademii Nauk w Berlinie, napisał o zoologicznych, geologicznych i klimatycznych warunkach Bosforu i Konstantynopola bardzo naukowe po francusku dzieło, do którego niech mi wolno będzie teraz zajrzeć, kiedy mam na myśli psa tureckiego.

Twierdzi on, że pies z ulic Konstantynopola, rasa darmożjadów, wytwór barbarzyństwa, skazany jest na zagładę razem z tem barbarzyństwem na powierzchni krajów muzułmańskich, i że przyszłość w tych krajach należy do psa pasterskiego, który na Wschodzie już dziś odgrywa niezwykłą rolę.

I opisuje, że jest tam ten pies nie tylko stróżem trzód, ale i stróżem bezpieczeństwa publicznego. Co więcej, ma być i stróżem kobiet, i gdy ludność męzka wychodzi na całe dnie z domów, on odpowiada za nią.

d. c. n.

## „Adria“.

Otwarta niedawno wystawa w Wiedniu pod nazwą: „Adria“ odtwarza przepiękne fragmenty architektoniczne z zabytków kultury epoki romańskiej i staroweneckiej. Wystawa zapoznaje turystów z nieznanymi skarbami sztuki pobraża dalmatyńskiego.

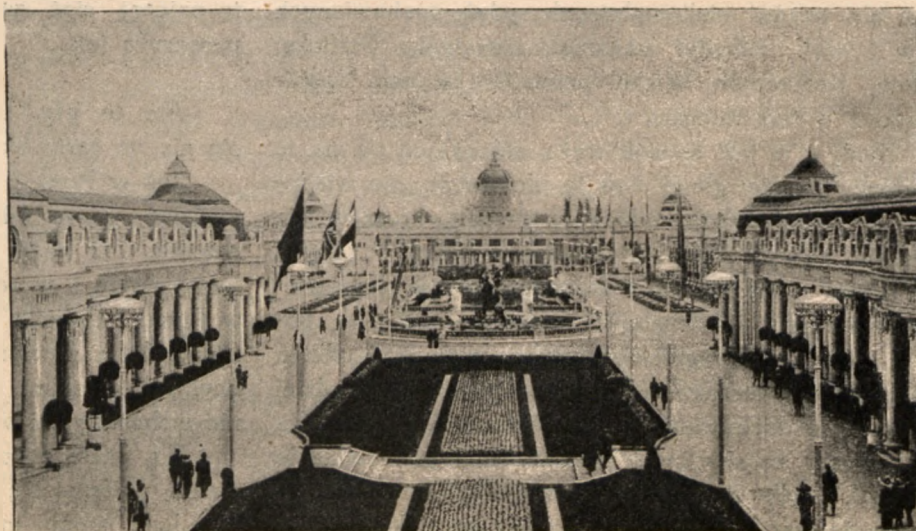


Wszystkie bez wyjątku budynki naśladowane są z historycznych budowli miast portowych, tak że zwiedzając wystawę, nabiera się rzeczywiście pojęcia o wartości dawnej sztuki budowniczej.

## Wystawa w Gandawie.

Belgia ma wspaniale rozwinięty przemysł i rolnictwo, nic też dziwnego, że chciała je pokazać szerszym kołom turystów. W tym celu urządzono w starożytnym mieście belgijskim, Gandawie, wielką wystawę, przyczem zaproszono do udziału i inne państwa europejskie.

Wystawa zajmuje ogromny teren, na którym powznoszone stylowe pawilony. Impozuje zwiedzającym olbrzymi nakład pracy, widoczny w urządzeniu wystawy i zgromadzonych okazach.



Fragment z wystawy tegorocznej w Gandawie.



KAP. BRERETON.

# Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.  
M. G.

16)

— Nigdy jeszcze w życiu tak mi się jeść nie chciało! — usprawiedliwiał się kanadyjczyk, między kąskami. — I to tak nagle mnie napadło...

— Zapasów mamy tu dosyć — uspokajał go pan Teodor z uśmiechem. — A tymczasem, możebyśmy nadali nazwę memu statkowi. Nazywaliście go podobno „Upiorem“? Dobra nazwa; można ją zostawić... Jeszcze kawałek baraniny, Harvey? Ted, wołowina stoi przed tobą...

Ted, zaspokoiwszy głód, rozglądał się w około, jakby dla stwierdzenia faktu, że jest naprawdę na pokładzie „Upiora“ i że buja gdzieś w górnych sferach, nad swoją rodzinną ziemią. Nawprost niego siedział Harvey, z poczochną skutkiem nowych przygód czupryną, a dalej pan Teodor, oparty plecami o krzesło, puszczał kłęby dymu z papierosa i roztrząsał jakąś techniczną kwestję z Jerzym.

W kącie pokoju młody chińczyk, służący, przygotowawszy kawę, ruszył ku nim z tacą zastawioną filiżankami i imbrykiem parującego napoju.

Ściany pokoju zrobione były ze srebrzystego materiału, tworzącego duże tafle matowe, których ramy tylko wypolerowane, błyszcząły jak srebro w świetle elektrycznym. W ścianie było okno. Ted podniósł róg firanki i ujrzał ciemną noc.

— Zdumiewające! — zawołał, odchodząc od okna. — Widać ogień, ale już dogasający i z jaką setką ludzi naokoło. A dalej rozstajne drogi na pustkowiach i miasto, w którym mieszkamy; światła widać wyraźnie...

— Zobaczcie potem coś jeszcze ciekawszego — odezwał się pan Teodor, patrząc z zadowoleniem na szczerzy zachwyt swego gościa. — Zobaczcie Londyn w nocy, a w dzień poznacie co to jest lecieć na takiej wysokości, gdzie wzrok ogarnia niezmiernie przestrzenie. Zobaczcie wtedy w jaki sposób jastrzębie i sępy spostrzegają z dala zdobycz a inne ptaki rozpoznają kierunek drogi... Ale dość już będzie na dziś, wypijemy kawę i spać! Jutro przy dziennym świetle roztoczy się przed wami taki widok, że niepodobna wam będzie nim się nasycić! Czang-Kang zaprowadzi was teraz do sypialni. Dobranoc! I jeszcze raz dzięki wam za ostrzeżenie!

Pan Teodor ucisnął dłonie chłopców i znikł za drzwiami. A zamiast niego, pojawił się chińczyk z obojętną twarzą, bez śladu ciekawości.

— Czang-Kang lubi służyć — przemówił drewnianym, martwym głosem — anglikom służyć. Tędy. Wy tu spać...

Stąpił bez szmeru na swych wołokowych podszwach; wyszedłszy na korytarz, zapuścił się w drugi i otworzył drugie drzwi. Z lekkim szczękiem odkręcił światło, głową zakołysał parę razy niby na pożenanie i już go nie było! Chłopcy zostali sami. Łątwo sobie wyobrazić, że języki ich nie próżnowały,

ale zmęczenie wzięło górę nad wszystkim i wkrótce wsunęli się do swoich szuflad, zastępujących łóżka.

— Dobranoc, chłopcy! — ziewnął Harvey. — Łóżko niczego... Miejmy nadzieję, że maszynista nie zaśnie i nie wywinie koziółka... To było by mniej wygodne!

Jerzy mruknął coś niechętnie na samo to przypuszczenie i wkrótce wszyscy zasnęli, marząc o poznaniu tajemnic „Upiora“

Czekało ich jutro ciekawe i pełne niespodzianek.

## VI.

### TEODOR BROWN WYNAŁAZCA.

— Hej! ty! czego mną tak potrącasz? Nie możesz zostawić mnie w spokoju! — mrucał z gniewem rozespany Harvey.

Zakopany na samym dnie szuflady, zapomniał o tem gdzie jest i byłby spał jeszcze długo, gdyby coś nie było go wyrwało z tego rozkosznego stanu.

Z gniewnym pomrukiem usiadł i otworzył oczy.

— Co to? — zawołał. — Co to za hałas? Ted! Czy słyszysz?

— Wychodźcie z łóżek i do okna! — zawołał znajomy głos. — Stoję tu już przeszło pół godziny, a wy śpicie jak susły... Nie widziałem nigdy nic równie pięknego i wspaniałego! Lecimy nad morzem!

Ted i Harvey wyskoczyli z łóżek.

— Doprawdy? Nad morzem? — zawołał Ted.

— Ale co to za hałas? — krzyknął Harvey, podnosząc głos, bo w kajucie rozlegał się ryk donośny, przechodzący chwilami to w żalosne wycie, to w przeraźliwe tony, świdrujące w uszach, a wtedy „Upiór“ kołysał się gwałtownie.

— Niekoniecznie to miłe, prawda? — roześmiał się Jerzy, kiedy Harvey potoczył się i upadł na podłogę. — Ale statek da sobie radę... Burza pod nami szaleje. Popatrz tylko!

Ted i Harvey przytknęli twarze do szyby. Ujrzeni na jakies sześćset stóp pod sobą, długą linię wybrzeża, zalewanego przez rozszalałe fale. Dalej wybrzeże ciągnęło się wysokimi skałami, o które rozbiły się z hukiem potężne bałwany, wyrzucając w górę olbrzymie masy wody.

W dole, w powietrzu zamglonem potokami deszczu i smugami porozwłóczonych chmur, leżał port, odznaczający się czarną linią wybrzeża i rzędami domów na nim zbudowanych. W porcie stały liczne statki, kołyszące się i miotające gwałtownie, jakby składały głębokie ukłony towarzyszącej niedoli.

— Statki węglowe — objaśnił Harvey. — Jak się taczają! Lepiej nam tu, na pokładzie „Upiora“, niż im tam, na wodzie...

— I ja tak myślę — odezwał się Jerzy. — Widziałem jak załogi zarzucały dodatkowe kotwice. „Upiór“ nie ma kotwicy a pomimo to utrzymuje równowagę.

Kiedy uderzy w niego potężna fala wichru, przechyli się tylko i wnet się wyprostuje, prawie na miejscu. W jaki sposób? Nie mogą zupełnie pojąć!

— Poczekaj, aż ci to wytłomaczy — zaśmiał się Harvey. — Przejdźmy teraz od zagadek do rzeczy pozytywniejszych. Czas na śniadanie. Najpierw kąpiel a potem... zdała by się baranina i jaja, lub coś w tym rodzaju...

Nacisnął dzwonek, który zabrzączał przeraźliwie. I w mgnieniu oka stanęła w progu drewniana postać Czang-Kanga, który oddał uroczysty pokłon i czekał na rozkazy, obojętny i niemy.

— Przydałoby się śniadanie i kąpiel... Czy możnaby?...

— Dziś — odrzekła drewniana figura. — Zimna? gorąca?

-- Chłodna tylko i...

Ale Czanga już nie było. Powrócił w parę minut oznajmiając, że kąpiel gotowa, a zanim chłopcy zdążyli się ubrać, zaprosił ich na śniadanie. W salonie zastali pana Teodora nad filiżanką gorącej kawy.

— Dzień dobry! — zawołał wesoło. — Cóż wy na taką niepogodę?

— Zdumiewamy się nad tym samolotem! — zawołał Jerzy z zapalem.

d. c. n.

## Kolej magnetyczna.

Nad niezwykłym wynalazkiem w dziedzinie kolejnictwa pracuje od dłuższego już czasu wynalazca ame-

rykański, Emil Bachelet w Nowym Jorku. Chce on zbadać wiszącą kolejkę, któraby wedle jego teoretycznych obliczeń poruszała się z szybkością 300 km. na godzinę. Niezwykła ta kolejka jest tak zbudowana, że wagony będą miały do zwalczania jedynie opór powietrza, natomiast tarcie o szyny jest zupełnie usunięte, ponieważ potężne elektromagnesy unoszą wagon w wysokości kilku milimetrów ponad torem. Ważną częścią składową konstrukcji mają być tak zwane solenoidy (zwoje drutu, przez które przepływa prąd elektryczny, a które zachowują się jak magnesy). Solenoidy te ciągną naprzód wagoniki, a równocześnie umożliwiają kierowanie.

Praktyczne doświadczenia nad działaniem swej konstrukcji wykonywa inżynier Bachelet na próbnym torze, długości mniej więcej dziesięciu metrów. Małe wózki, wagi ośmiu kilogramów, obciążone prócz tego 20 kilogramami, wznoszą się w wysokości 12 mm. nad szyną, a solenoidy nadają im niezmiernie szybki ruch naprzód. Bachelet oblicza, że przy zastosowaniu śmigła samolotowego do poruszania wózków możnaby osiągnąć olbrzymią chyżość ruchu, wynoszącą do 500 km. na godzinę. Czy jednak uda się pomysł urzeczywistnić.

Bachelet nie zaprzestaje prób ze swym wynalazkiem, nie zraża się ujemnymi krytykami kolegów w zawodzie, lecz pracuje nad dalszemi udoskonaleniami. Niedaleka już zapewne przyszłość wykaże, czy sprawdzą się jego nadzieje zastosowania wynalazku na wielką skalę. Bądź co bądź wynalazek stałby się przełomem w dziedzinie środków komunikacji, wprowadziłby zasadnicze zmiany w stosunkach światowych.

## Gry sportowe na powietrzu.

### RYBACY.

Liczba bawiących się: 20 — 50. Boisko: kwadrat, którego wynosi 40 — 50 kroków.

Przebieg zabawy. Obok granicy boiska, przedstawiającego jezioro, naznacza się kreską wyspę. Dwaj wylosowani są rybakami i udają się na wyspę, inni zaś są rybami i udają się na wyspę, inni zaś są rybami i rozpraszają się po jeziorze. Rybacy podają sobie ręce na wyspie i wołając: „do jeziora!“, wybiegają na połów. Tu gonią za uciekającymi rybami i starają się jedną z nich schwycić w ten sposób, że jeden z rybaków uderza rybę ręką. Schwytana ryba, którą rybacy muszą zanieść na wyspę, zostaje rybakiem. Następnie wpadają rybacy znowu do jeziora, aby złowić drugą rybę i zanieść ją na wyspę. W ten sposób utworzona, nowa para rybaków opuszcza również wyspę, aby podobnie jak pierwsza chwytać dalej ryby. Każda para rybaków wybiega niezależnie od drugiej. Gdy jedna para nie może schwycić albo przynieść jakiej ciężkiej ryby, wówczas woła: „na pomoc!“ i w czterech albo w sześciu wynoszą rybę na wyspę.

Zabawa kończy się wyłowieniem wszystkich ryb. Następną zabawę rozpoczyna ta para rybaków, którą na końcu schwytano.

Zabawa ta dobra także dla dziewcząt z tą zmianą, że rybaczkami nie niosą schwytanych ryb na wyspę, lecz prowadzą je za ręce.

Prawidła. 1. Jedno uderzenie ręką wystarcza aby chwycić rybę.

2. Schwytana ryba może się trzepać, lecz nie wolno jej wydzierać się rybakom. Również inna ryba nie może udzielać schwytanej pomocy.

3. Kto wybiegnie poza granice boiska, uważa się go za schwytanego.

4. Gdy rybacy nie zaniósł ryby na wyspę, wówczas schwytanie nie ma znaczenia.

5. Rybacy podają sobie ręce tylko na wyspie i wybiegając wołają za każdym razem: „do jeziora!“ Pojedynczo wybiegać nie wolno.

Jeżeli para rybaków nie trzymała się za ręce w chwili uderzenia ryby, w takim razie uderzenie nie ma znaczenia.

# PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 13)

Jasiek przeżegnał się i odważnie ruszył na nowy posterunek.

Dyrektor oczekiwał już na niego i rozkazawszy stróżowi ulokować rzeczy wprowadził Jaśka do porządnie umeblowanego pokoiku.

— Rozgość się mój drogi. Tu będziesz rezydował z Romkiem, pragnę bowiem, abyś ustawicznie miał go na oczach. Za chwilę przyjdę po ciebie i zaprowadzę cię do mej żony!

Po wyjściu dyrektora onieśmielony Janek rozglądał się po pokoiku. Niczego tu nie brakowało co mogłoby być potrzebne młodemu uczącym się ludziom.

Pocziwy ojciec pamiętał o wszystkim, a wiedząc, że Janek z początku będzie bardzo nieśmiały, pozostawił go na chwilę samego, aby ochłonął i oswoił się z nowym otoczeniem.

Pani Kaznikiewiczowa przyjęła go niemniej od swego męża życzliwie:

-- Tylko mój drogi nie bądź dla niego nazbyt surowy, bo on widzisz słabowity!

Inaczej powiedział mu ojciec.

— Chłopaka trzymaj krótko, na nic nie pozwalaj!

Młody Kaznikiewicz dowiedziawszy się kogo mu ojciec na korepetytora przeznaczył zapytał z gniewem.

— Jakto, więc tego od pierwszej chwili znieprawidzonego chama mieć będę ustawicznie na karku? Nie! Na to nie zgodzę się nigdy!

Otwarcie jednak sprzeciwiać się nie mógł, wiedział bowiem, że z ojcem żartów nie ma, przywitał się też w obecności rodziców z Barańskim bardzo grzecznie, ale w duszy postanowił tak robić, aby Janek długo nie popasał u nich. Zapowiedział też Jankowi, gdy znaleźli się sami w pokoju:

— Tylko ty nie myśl, że ja pozwolę przeprowadzić ci nad sobą. Jeżeli chcesz mieć spokój, bierz co ci stary płaci i siedź spokojnie, do mnie się nie wtrącaj, bo inaczej fora ze dwora! Raz tylko na mnie poskarz co staremu, a wysiudam cię stąd!

Janek wysłuchał tej obiecującej przemowy swego przysłego pupila zupełnie spokojnie.

— Nie ty mnie godziłeś, nie ty wyrzucać będziesz. Nie będziesz się chciał uczyć, nie będziesz słuchał sam pójść. Pieniądzy za darmo brać nie będę. A co do skarg to bądź pewny, że bez powodu ojcu twemu z pewnością skargi nie zaniosę, ale o każdym twym kroku zawiadamiać go muszę, bo na to tu jestem!

## VIII.

Miał Barański wikt znakomity i eleganckie mieszkanie, a jednakowoż znacznie gorzej wyglądał, aniżeli w czasie pobytu na Olimpie.

Kaznikiewicz o ile mógł dotrzymywał danego sło-

wa i Janek musiał z nim formalne walki staczać.

Zaraz prawie pierwszego dnia, gdy wieczorem wszyscy się już spać pokładli. Kaznikiewicz zarzucił płaszcz na siebie i miał zamiar wymknąć się gdzieś chyłkiem na nocną wycieczkę.

— Gdzie idziesz?

— A tobie co do tego?

— Uczeń nie powinien się o tym czasie włóczyć po ulicach!

— O, owa!

Janek nie odezwał się nic więcej tylko zaczął także w płaszcz się ubierać.

— Myślisz mnie szpiegować?

— Ani mi się śni! Pójdę tylko tam, gdzie ty pójdziesz i wrócę razem z tobą. Temu nie przeszkodzisz!

Kaznikiewicz zaklął paskudnie, ale odrzucił płaszcz i pozostał w domu.

Takie i tym podobne zatargi prowadzić musiał Janek na każdym kroku, nic też dziwnego, że mizerniał chłopak.

Ale nie zawsze takie zatargi kończyły się zwycięstwem Janka. Nierzadko musiał na pomoc przyzywać starego Kaznikiewicza, a to pomiędzy młodymi znacznie zaostrzało stosunki.

O ile Romek nie cierpiał, można powiedzieć z każdym dniem bardziej Barańskiego, o tyle rodzice lubili go i oceniali jego pracę nad poprawą Romka, który próbował z początku skarżyć niestworzone rzeczy na Janka to ojcu to matce, ale przekonawszy się, że skargi te do niczego nie prowadzą przyczaił się i zaczął udawać poprawę.

Tak przeszły dwa miesiące i nadeszły imieniny dyrektora.

W dzień ten, a raczej w wieczór odbywało się u Kaznikiewiczów ogromne przyjęcie. Całe prawie miasto zgromadziło się w salonach państwo Kaznikiewiczów, którzy już od kilku dni czynili przygotowania, aby gości godnie przyjąć.

Ponieważ po kolacji miały się odbyć i tańce, więc uczniów na ten dzień z ich pokoiku wyrzucono i urządzono tam garderobę dla pań.

Romek zajął się przybraniem pokojów, a posiadał do tych rzeczy spryt niesłychany, a i Janek pomagając to pani to panu był bardzo użyteczny.

O godzinie ósmej zaczęli się goście schodzić,

Prawie równocześnie przybyli przywyczażeni do punktualności profesorowie z żonami, za nimi w jakiś czas mecenasostwo Wańscy i tak powoli zaludniły się salony.

Po kolacji zaczęły się tańce. W czasie przerw między jednym, a drugim tańcem panie wybiegały do garderoby, aby poprawić włosy, zetrzeć pot z twarzy lub chwilę swobodnie wypocząć! Janek z Romkiem nakręcili się nie mało, pomagali bowiem ustawicznie w roznoszeniu chłodników, lemoniady i lodów.

Miał nastąpić kadryl.



Przyjmuję cię *Smieszko* kochana i bardzo ci już jestem rada, tylko, bądź słowną i po otrzymaniu promocji do piątej klasy napisz ów długi list, przedstawiając się w nim dokładnie i prawdziwie. Wypowiadaj się ze swych upodobań, zamiarów na przyszłość, ze wszystkiego, szczerze, otwarcie, jak przed siostrą.

Halinka, o którą pytasz, jest moją jedyną córeczką, bardzo to wesoła, żywa trzyletnia osóbką i za całusa wywdzięcza się tem samem.

Dziękuję ci *Laszko* za dobre słowa i ufność, a i ty masz w zamian u mnie obszerny kącik w sercu i każdy twój list wielką mi sprawia przyjemność, szkoda tylko, że je tak rzadko pisujesz.

Śliczne masz zamiary na przyszłość, droga moja dziewczeczko, gospodarstwo wiejskie, wraz z pszczelnictwem, koszykarstwem i innymi jego gałęziami, toż to ważna bardzo rzecz, tem ważniejsza, że tak jeszcze mało jest u nas rozwinięte, choć stanowi podwalinę bytu materialnego.

Zostań dobrą gospodynią *Laszko* i dawaj z siebie wzór, ucząc dobrego gospodarstwa i pracowitości lud wiejski, przez co podniesie się jego zamożność i oświata.

Rozpościera się przed tobą życie piękne, pełne wdzięcznej pracy, wstąp w nie pogodna, zbrojna w wiarę, naukę i niewyczerpaną miłość, wyrozumiałość dla tych, z którymi będziesz obcowała i pamiętaj, że masz świecić im przykładem pod każdym względem.

*Sierocie* na nową drogę życia zasyłam najlepsze, najserdeczniejsze życzenia, oby je Bóg spełnić raczył!

Rad, o które mię prosisz nie mogę ci w liście udzielić, gdyż przedewszystkiem za mało mam na to doświadczenia, a powtóre, nie znam ani twego usposobienia, ani warunków i otoczenia wśród którego żyjesz. Sądzę wszakże, że wśród dobrej rodziny, lub znajomych, znajdziesz życzliwych którzy w ważnej tej chwili nie poskąpią ci rad dobrych i uwag.

Raz więc jeszcze: „Szczęść Boże!” i jeśli znajdziesz wolną chwilę donieś mi o swem szczęściu i życiu.

*Szmaragdowa Kolja* przypomniała sobie o istnieniu „Przyjaciółki”.

Cieszy mię to bardzo, a jeszcze więcej, że list napisany starannie i bez błędów, i że uwagi moje nie dotknęły cię wcale. Tak być powinno, kochana dziewczeczko, boć wszakże ja nie czynię wam uwag, dla celu innego, jak dla waszego, osobistego dobra, dla kształcenia umysłu i urabiania charakteru; gdybym na to nie zważała, szkoda byłoby miejsca na tę „skrzynkę” i czasu na jej pisanie, was samych nawet przestałaby ona zajmować.

Co do pseudonimu, zostań przy nim, skoro on tak ci się podoba, ja już powiedziałam, co o nim myślałam, a sądzą, że z chwilą, w której „drugoklasistka” przestąpi progi swej klasy, zmieni nieco swe upodobania.

Dobrze robisz, kochanie, że cały dzień spędzasz na powietrzu, w lesie, lub na rzece; tylko tych figłów na łodzi radzę zaniechać, bo może być wypadek; zbyt długie kąpiele również nie są zdrowe.

*Kłos*, (śliczny pseudonim!) A czy ten kłos jest pełen obiecującego ziarna, czy jest ważki, mile kłonią-

cy się ku ziemi? Spodziewam się, że tak, boć taki bardzo hardo strzelający w górę nie jest kłosem, lecz szkodliwym między zbożem zielskim, nieprawdaż?

List twój, tchnący szczerą wesołością rozśmieszył i mnie, gdyż wyobrażam sobie, jak musiał wyglądać ten biedny zajaczek z przylgniętym doń lepem na muchy, od którego napróżno starał się uwolnić.

Wogóle, obserwacje twe nad życiem zwierząt są bardzo zajmujące i zachęcam cię do prowadzenia ich, tembardziej, że lato i wieś tyle ci dostarczają wdzięcznego materiału i okazji. Ale jedno: czy w tych niedobrych chłopcach starasz się rozbudzać litość dla zwierząt, czy przedstawiasz im ohydę i niegodziwość ich czynów? Czy tłumaczysz, że one biedne również ból czują?

Pracuj w tym kierunku, mój drogi, kochany *Kłosie*, bo kto nie ma litości dla zwierzęcia, nie będzie jej miał i dla człowieka, a złoczyńcy rekrutują się po większej części z katów zwierząt.

Ładnie malujesz *Halę*, widoczek twój bardzo udatny i temat prześliczny, umieszczę go nad biurkiem i będzie stanowił dla mnie miłą pamiątkę. Za obietnicę odwiedzenia mię dziękuję, nie nastąpi to jednak tak prędko, gdyż do Warszawy mam zamiar wrócić dopiero w październiku; co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

Brawo *Żywio*, brawo! gdybym mogła, uściskałabym cię serdecznie. Wiesz, co *Deotyma* pisze o robotach ręcznych, a głównie o szyciu i cerowaniu? Oto, że matka jej zwykła była do niej mawiać:

„Wolałabym raczej, żebyś nie umiała pisać, niż nie umiała cerować.

A przecie chyba taki wielki talent, jak *Deotyma* mogłaby sobie pozwolić na lekceważenie igły, nie uczynił jednak tego. Za nic najwykwintniejsze nawet robotki, jeśli się nie umie cerować i szyć, choćby trochę; igła i kobieta to dwie nierozłączne towarzyski.

Zasyłam ci życzenia przyjemnego spędzenia wakacji, a za kartę dla *Halinki* obie dziękujemy.

*Różyczka* nie wydaje mi się być dobrą mamusią, kiedy pozwoliła na takie sponiewieranie swych laleczek przez *Amorka*, i mówiąc prawdę, nie pieskowi, lecz dziewczynce należała się bura.

Liścik za to, jak na ośmioletnią osobę, napisany ślicznie, starannie i bez błędów, co mi wielką sprawiło przyjemność. Widzę, że *Różyczka* naprawdę kocha pannę *Marję*, skoro korzysta z jej nauk i z wdzięcznością się o niej wyraża, dobrze to świadczy o tobie, drogie dziecko i z całego serca pragnę, by się spełniły twe marzenia zostania w przyszłości nauczycielką, podobną do panny *Marji*.

Mamusi swej podziękuj ode mnie za pamięć, a przyjmij uściśnienia od *Halinki* i

*Przyjaciółki.*

#### Ofiary na ochronkę „Wieczorów Rodzinych“

Cesia Skrzyńska z Warszawy 1 rb., Oborska z Warszawy 1 rb.

